

DROGA DO RAWDON

KASPER PAWLIKOWSKI

Kasper Pawlikowski urodził się 5 czerwca 1927 roku w rodzinnym majątku w Medyce na Podkarpaciu. Został wychowany w patriotycznej i intelektualno-artystycznej atmosferze, utrwalonej tradycją kilku pokoleń. Duży wpływ miał na niego dziadek – Jan Gwalbert Pawlikowski, odkrywca Zakopanego (właściciel willi Pod Jedłami) i człowiek o niezwykle szerokich zainteresowaniach: był ekonomistą, publicystą, a za młodu politykiem, taternikiem, promotorem ochrony przyrody i nauczycielem akademickim. W latach późniejszych opracował i wydał z rękopisu Króla Ducha Juliusza Słowackiego. Ojciec – Michał Pawlikowski, zarządzał rodzinnym majątkiem, ale z zamiłowaniem zajmował się też historią sztuki oraz literaturą. Prowadził działalność wydawniczą i pisał wiersze. Jego życiową pasją było kolekcjonerstwo. Zgromadził zbiory, w których poza archiwaliami rodzinnymi, znalazły się cenne starodruki, pamiątki powstańcze, dokumenty z różnych epok, autografy i prace plastyczne znanych polskich malarzy, poetów i pisarzy¹. Kolekcję tę w roku 2001 Kasper Pawlikowski przekazał w roku 2001 w darze do Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Matka Kaspra – Aniela, uczennica Weissa i Sichulskiego, była ilustratorką i artystką wystawiającą swoje grafiki, pejzaże oraz portrety. W warunkach wojennych, ograniczając się do portretowania, zyskała uznanie i zamówienia od włoskich i angielskich domów arystokratycznych. Jej siostra, chrzestna matka Kaspra, Beata Obertyńska była poetką, podobnie jak matka obu sióstr, Maryla Wolska².

¹ Między innymi A. Mickiewicza, M. Konopnickiej, St. Wyspiańskiego, J. Matejki, I. Kraśzewskiego, A. Fredry, J. Kasprowicza, E. Orzeszkowej i St. Witkiewicza.

² Wojciech Lięża, *Między Polską a światem. Rozmowa z Kasprem Pawlikowskim*, „Ekspresje/Expressions. Rocznik Literacko-Społeczny Stowarzyszenia Pisarzy Polskich za Granicą” (Londyn), t. IV (2013), s. 205–229.

Przez dwór Pawlikowskich w Medyce przewijali się artyści, politycy oraz luminarze kultury i nauki.

Kasper, jeden z czwórki dzieci Anieli i Michała Pawlikowskich, pobierał początkowo naukę w domu, a następnie w szkole powszechnej we Lwowie. Pójście do gimnazjum uniemożliwił mu w roku 1939 wybuch wojny. Ojciec, przez Rumunię, trafił do Włoch. Rok później matka, wraz z czworgiem dzieci, przedostała się spod okupacji sowieckiej do rodziny mieszkającej na ziemiach okupowanych przez Niemców. Stamtąd, dzięki wstawiennictwu władz włoskich i dworu Savoia, udało się wszystkim wyjechać do Rzymu. Kasper Pawlikowski ukończył tam gimnazjum i po wyzwoleniu Włoch przez Aliantów wstąpił do II Korpusu Polskiego PSZ, gdzie skierowano go do podchorążówki. Po wojnie, wraz z wojskiem i rodziną, dostał się do Wielkiej Brytanii. Ukończył tam college ze specjalnością administracji publicznej oraz handlu i podejmując różne zajęcia, uczył się języka angielskiego. Następnie, dzięki wstawiennictwu rodziny, uzyskał w Londynie pracę w emigracyjnym, polskim Katolickim Ośrodku Wydawniczym „Veritas”.

W roku 1953 zdecydował się na emigrację do Kanady. Przez Halifax i Winnipeg trafił do prowincji Saskatchewan, gdzie pracował w małych firmach wydawniczych, najpierw w niewielkim miasteczku, następnie w Reginie, w dzienniku „Leader Post”, a wreszcie w „Oshawa Times Gazette” w prowincji Ontario. W połowie lat 50., jako autor felietonów oraz specjalista techniczny, współpracował też z polonijnym „Głosem Polskim–Gazetą Polską” publikowaną w Toronto. Często bywał też w Rawdon³, niewielkiej miejscowości pod Montrealem, gdzie powstało skupisko letnich domów kilku znanych Pawlikowskiemu rodzin polskich emigrantów o korzeniach ziemiańsko-inteligenckich oraz ich krewnych i znajomych. W roku 1955 przeniósł się do Montrealu, gdzie rok później założył rodzinę. Pracując nocami w gazecie „Montreal Star” ukończył studia licencjackie z nauk politycznych i slawistyki na francuskojęzycznym Université de Montreal. Następnie pracował kolejno w Canadian International Development Agency i – jako redaktor dokumentów specjalistycznych w agencji ONZ. W roku 1966 został zaangażowany na stanowisku kierowniczym przy organizacji światowej wystawy Expo '67 w Montrealu a cztery lata później ukończył studia magisterskie na wydziale pedagogiki University of Ottawa i podjął pracę w Ministerstwie do spraw imigracji. Zredagował tam podręcznik dla funkcjonariuszy imigracyjnych, a od lat siedemdziesiątych, z ramienia kanadyjskiej agencji pomocy międzynarodowej, specjalizował się w przygotowywaniu analiz systemów szkolnictwa

³ Zob.: Beata Gołębiowska (2011), *W jednej walizce. Polska arystokracja na emigracji w Kanadzie*, Brzezia Łąka: Poligraf.

w krajach rozwijających się i w przygotowywaniu ich reform. Poza obowiązkami zawodowymi z pasją podróżował (często na motorze) po Indiach i Afryce.

Po przejściu na emeryturę, realizując swoje pasje artystyczne, ukończył kursy rzeźby w Ottawa School of Art, rzeźbi oraz spisuje wspomnienia rodzinne⁴. W roku 2007, po 65 latach, Kasper Pawlikowski powrócił do Polski i wraz z rodziną zamieszkał w Krakowie.

Opracowanie i redakcja: Anna Reczyńska

WOJENNE POSŁOWIE

W latach 1946–1947 Londyn przypominał gigantyczny węzeł komunikacyjny w centrum siedliska nomadów. Tymczasowość, nieprzerwany ruch, ludzie w przelocie. Jedni przybywali z baz na wyspie, inni z dalszych obozów wojskowych i jenieckich na kontynencie lub z zamorskich kolonii, jeszcze inni byli w drodze do jakiegoś „u siebie”. Atmosfera pokojowego odprężenia i bezpieczeństwa nadawała metropolii charakter zbiorowych wakacji, podczas których rygory wojenne traciły swoją groźną, wyostrzoną moc, a cywilne nie weszły jeszcze całkowicie w życie. Jedni przyjeżdżali, by zobaczyć całkiem świeże ślady spustoszenia i zniszczenia po blitzkriegu, inni podążali w przeciwnym kierunku, zbierając się do odlotu w odległe, zamorskie strony. Po zwycięstwie i zapanowaniu pokoju obcokrajowcy mogli powracać do swoich wyzwolonych krajów, od których byli odcięci przez cały okres działań wojennych.

Przeobrażenia te obejmowały przestrzeń zarówno geograficzną, jak i psychiczną. Pięć lat wojny było okresem dostatecznie długim, szczególnie dla młodych, by nadać warunkom wojennym posmak codzienności. Dla wielu z nich napięcie, nawet dobrze funkcjonującego rytmu dorywczości, codzienne wystawienie na niebezpieczeństwo, zmiana m.p.⁵, wszelkie niedobory, a przy tym sympatia dla wojska ze strony wyzwolonej od niebezpieczeństw ludności cywilnej, przenikało świat. Młodzi, piętnasto- czy dwudziestojednoletni, wyszli z domów na wojnę za wcześnie, by mieć ustalone warsztaty pracy i zakotwiczenie zawodowe. Wielu z nich nie zdążyło nawet pokończyć szkoły i studiów. Machina wojenna wypuściła ich z karbów cywilnego społeczeństwa i teraz stanęli zagubieni przed wizją

⁴ K. Pawlikowski (2013), *Ciocia Dziadzia. Beata Obertyńska*, „Ekspresje/Expressions. Rocznik Literacko-Społeczny Stowarzyszenia Pisarzy Polskich za Granicą” (Londyn), t. IV, s. 150–165; K. Pawlikowski (2014), *Lela Pawlikowska w Rzymie*, „Świadectwa-Testimoniae. Rocznik Polonii we Włoszech» wyd. Fondazione Romana Marchesa J. S. Umiastowska, (Rzym), t. VII; w przygotowaniu wspomnienie o rodzinie z lat przedwojennych.

⁵ Wojskowy kryptonim oznaczający miejsce postoju.

własnej dorosłości w powojennym świecie. Niełatwe przepoczwarzanie się z dzielnych wojaków w ustatkowanych cywilów było procesem powolnym i wypełniało całą ich przestrzeń cerebralną. Częste przemieszczanie się w ciągu tych pięciu wojennych lat pozbawiło ich przywiązania do miejsca i lojalności wobec niego, sprawiało też, że powiązania międzyludzkie stawały się lekkie i powierzchowne. Zastępy młodych mężczyzn były widoczne w różnych zakątkach stolicy, na ulicach, w kolejkach, w autobusach, a zwłaszcza w pubach i lokalach. Odróżniało ich łatwo od innych «osiadłych» obywateli beztrioskie zachowanie i krój ubrania, który w zamian za mundur otrzymali od rządu Jego Królewskiej Mości.

Dla starszych, dla których okres pięciu lat był zaledwie ułamkiem życia, było to jakby dygresją w ich normalnym trybie, w który byli poprzednio wdrożeni. Ich dorosłe życie wiodło torem, który przerwała im wojna i niebawem miało powrócić na znany im utarty szlak. Funkcyjni oficerowie mogli stać się na powrót farmaceutami, nauczycielami, inżynierami, sklepikarzami, księgowymi. Księgowymi, głównie to, bo jeśli nie zawodowo, to w każdym razie w małostkowym zacięciu pełnym pedanterii i skrupulatności. Okazało się jednak, że rzeczywistość zawiodła oczekiwania i starych, i młodych. Wojna przeorała nie tylko ludzkie indywidualne i zbiorowe byty, ale również instytucje usankcjonowane tradycją wielowiekowych systemów administracyjnych *Pax Britannica*. Zapowiedź owych zmian zaczęła z wolna, ale nieuniknienie docierać do zbiorowej świadomości społeczeństwa. Udział sprzymierzonych narodów, a w szczególności Stanów Zjednoczonych, w wysiłku wojennym Anglii zachwiał zadufaniem poddanych monarchy. Nowy porządek zaczął się od nowych międzynarodowych układów opartych bardziej na współpracy i kompromisie niż na przewadze imperialnej. Jakkolwiek uwarunkowanie to miało się niebawem rozwinąć i umocnić, jego wczesne objawy dawały się już wtedy odczuć w życiu codziennym. Koszty prowadzenia wojny, czyli zadłużenie narodowe, jeszcze długo wymagały utrzymania systemu przydziałów kartkowych dla obywateli. Wspólnota Commonwealth wspierająca *mother country* niewątpliwie była tu pomocą. Wzmózona obecność cudzoziemców i tolerancja dla nich w intymnych zakamarkach życia wyspiarskiego – włączając w to małżeństw – stały się powszechne.

Dla brytyjskich autochtonów ustawienie się w pokojowym, spustoszonego świecie, nawet jeśli był on ich ojczyzną, wymagało readaptacji. Teraz stabilizacja była dla nich o tyle łatwiejsza, że posiadali własne domy, koligacje rodzinne, znali społeczny układ, język – i byli u siebie, we własnym kraju. W mrowiu ludzkiego skupiska mogli szukać i odnajdywać znajomych, nawiązywać nowe kontakty. Życie tu miało jeszcze ową chaotyczną lekkość, w której łatwo się było zagubić, a jednocześnie dawało większe możliwości w pracy i powiązaniach obojga płci.

Alianse wojenne łączyły ludzi odmiennego pochodzenia, narodowości i kultur we wspólnym celu, którym było pokonanie wroga. Teraz, gdy zbiorowy cel został osiągnięty, narzucała się konieczność przedefiniowania się wobec wyłaniającego się nowego porządku. W owym ludzkim tyglu znaleźli się ludzie, którzy w śmiertelnej trwodze lub z lojalności napłynęli do Wielkiej Brytanii, inni wstąpili do jej służby czynnej w kraju.

Układ jałtański uznał hegemonię komunistyczną we wschodniej Europie i cofnął tam uznanie rządów. Zdrada aliantów wywołała zrozumiałą szok i dramatyczne rozczarowanie obywateli tych krajów. Ludzie, którzy brali udział w wysiłku wojennym aliantów w przekonaniu, że sprzymierzeni pomogą im odzyskać wolne ojczyzny, teraz przeżywali traumę. Znaczyło to bowiem, że jeśli nie powrócą, będą skazani na odcięcie od rodzin i układanie swojego życia od podstaw w dorosłym lub zgoła sędziwym wieku. Jeśli wrócą, czeka ich zbiorowa niewola lub zgoła narażenie życia w opresyjnym systemie komunistycznym. W wyniku tej sytuacji zaistniał rozdźwięk nie tylko między gospodarzami i wojennymi przybyszami, ale również wewnątrz samych grup narodowościowych. Podłożem stał się konflikt między tymi, którzy mimo komunizmu pragnęli powrócić do krajów, do swoich rodzin, i tymi, którzy postrzegali ten krok jako zdradę i brak lojalności. Gorycz i rankor wobec aliantów, głównie Brytyjczyków, długo pozostawały w umysłach poszkodowanych. Czas miał zabiłnić animozje, zwłaszcza po odjeździe repatriantów do kraju i z konieczności egzystencjalnej, ale wtedy były one jeszcze żywe.

Pod koniec lat czterdziestych obraz demograficzny stał się bardziej przejrzysty. Polacy, którzy chcieli i mogli wrócić do kraju, wyjechali. Informacje o ich losie i skutkach ich wyborów zaczęły rychło przeciekać na Zachód. Z pozostałych na emigracji jedni postanowili osiąść w Wielkiej Brytanii na stałe, inni, nie mając wizji przyszłości w angielskim społeczeństwie, tworzyli lotną, zdeorientowaną grupę. Wynikało to głównie z niechęci do tego kraju – wyspiarska Anglia nie miała nigdy powabu dla Polaków, a szczególnie teraz. Jakkolwiek wszyscy kombatanci i ich rodziny zostali tu przyjęci, po wojnie stali się oni dla Brytyjczyków żenującym wyrzutem zbiorowego sumienia i niewygodnymi gośćmi. Namawianie przez nich Polaków, Jugosłowian, Czechów, Rumunów, Litwinów i innych Bałtów do powrotu bywało niejednokrotnie przykrym tego wyrazem. Było to już wojenne posłowie, era, kiedy widok battle dressu budził tylko sympatyczne zaciekawienie dzierlatek, a przyjaźń z Sowietami wyrażała wdzięczność za udział w pokonaniu wroga.

Zróznicowanie w londyńskiej polskiej emigracji zaznaczało się przede wszystkim pokoleniowo. Młodszy i bardziej przedsiębiorczy rozważali swoją przyszłość głównie pod kątem perspektywy zatrudnienia. Ich społeczna adaptacja w angiel-

skim społeczeństwie, zwłaszcza bez płynnej znajomości języka, ograniczała ich możliwości do ostatnich zajęć. Młodzi, bardziej ambitni, którzy się kwalifikowali, doksztalali się w instytucjach i na wyższych uczelniach, korzystając z subwencji rządowych. Starsi, z małą nadzieją i nieistniejącą szansą powrotu do swoich przedwojennych zajęć, wrastali coraz głębiej w rezygnację, inwestując czas w układanie sobie znośnego bytu najskromniejszymi zasobami i we wspomnianie przeszłości. Ci osiedlali się najczęściej w okolicach Earls Court i Ealing, marząc o nabyciu nieruchomości w tamtych okolicach i spokojnej przyszłości. O wiele później skrótem w urzeczywistnianiu tych marzeń stało się wsparcie finansowe zarabkujących młodszych członków ich rodzin.

Konieczność przewartościowania się stwarzała fatalne podłoże psychiczne dla wielu dorosłych i starszych. W polskim *milieu*⁶ pan X był radcą prawnym, pan D generałem, a pani S inspektorką szkolnictwa. Na angielskim rynku pracy funkcje ich sprowadziły się kolejno do handlowego subiekta w domu towarowym Selfridge, magazyniera i sprzątaczkę w angielskim domu. Zmywanie talerzy w sieciowej restauracji Lyonsa wyratowało niejednego z finansowych tarapatów. Zaraz po uznaniu przez Wielką Brytanię polskiego rządu lubelskiego obsada polskich państwowych instytucji emigracyjnych znalazła się w tej samej trudnej sytuacji co kadra starszych wojskowych. Na przykład 63-letni prof. Stanisław Stroński, naukowiec, polityk i minister RP, prezes Związku Polskich Pisarzy na Emigracji, po cofnięciu uznania rządowi londyńskiemu zgłosił się do pracy fizycznej w fabryce samolotów. Być może pociągnięcie to było pomyślane bardziej jako protest niż jako środek zarobku czy akt desperacji, ale rozgłos osiągnął swój cel w mediach. Notabene i tak wiek i kondycja fizyczna uratowały profesora od nowej kariery. Być może pomógł także brak popytu na samoloty w tym okresie, gdyż lotnictwo cywilne długo jeszcze czekało na swoje przeobrażenie. Naukowcy, politycy, mężowie stanu, nie mówiąc o wyższych wojskowych, padli w większym lub mniejszym stopniu ofiarą tego uwarunkowania.

We wczesnych latach 50. społeczność polska w Londynie kształtowała się wedle wyraźnych schematów. Po zapadnięciu żelaznej kurtyny jej kręgi nie powiększały się, gdyż wydostanie się z kraju stało się trudne a ci, którym udało się ujść, byli nieliczni. Przejazd statkiem pod ładunkiem węgla czy bezpowrotna wizyta na Zachodzie były najczęstszą drogą. Liczba ubywających z Wielkiej Brytanii w tym okresie przewyższała jednak liczbę nowo przybywających. Emigracja do innych krajów obydwu Ameryk, Australii i Afryki przerzedziła znacznie i rozproszyła polską diasporę. Trudny los wszystkich pozostałych stworzył naturalną potrzebę bliskiego kontaktu, umożliwiającego bycie naprawdę sobą.

⁶ Otoczeniu.

Wprawdzie 5 lat po wojnie wtapianie się emigrantów w brytyjskie tło, zrobiło znaczne postępy, jednak polityczna koniunktura przyjaźni Wielkiej Brytanii z Sowiecami nie sprzyjała atmosferze integracji. Musiało minąć jeszcze kilka lat nim autochtonom otwarły się oczy na wojennego wschodniego alianta, który teraz, w czasach zimnej wojny, stał się ich nieprzyjacielem.

Polskie życie towarzyskie, aczkolwiek na skromnym poziomie, kwitło w pełni, było bowiem wynikiem naturalnej potrzeby kulturowych kontaktów. Okazją do spotkań były nabożeństwa, obchody rocznic, śluby i powiększająca się częstotliwość pogrzebów. Prywatne ciasne mieszkanie i kawalerskie meliny służyły jako miejsce schadzek tych bardziej dobranych ze sobą osób, które zbierały się często dla wspólnego wsparcia, wymiany plotek i wspomnień. Oderwane od «gleby» ptaki niebieskie dobierały się luźno wedle zainteresowań kulturalnych, wieku i pokrewnych przeżyć wojennych. Prowadzili niekończące się dyskusje o możliwościach i inicjatywach handlowych, o sprzyjających talentach itp. Zapelniali świetlice kombatantów, kawiarnie oraz wspaniałe i przyjazne londyńskie parki.

Większość Polaków w Londynie stanowili zesłańcy, których z Rosji sowieckiej wyprowadził gen. Anders. Pod jego dowództwem przeszli całą włoską kampanię. Wojskowi z I Korpusu w Anglii w mniejszej liczbie zasilali zastępy polskiej emigracji. Ci jednak, dobrze zdomowieni na Wyspach i znający język, byli lepiej usytuowani. Niejeden z nich zawarł już małżeństwo z Brytyjką. Punktów polskiego zakotwiczenia w Londynie było wiele. Najmocniejszym stał się katolicki kościół Brompton Oratory, który w niedziele i święta ściągał Polaków z całego miasta. Grubo przed 11.00 ulice Kensington i Brompton Road zaczynały pulsować wzmocnionym, jednokierunkowym ruchem. Z bocznych ulic i zaułków pojedynczo i grupami ciągnęli polscy wierni na sumę. Bądź z braku miejsca na zewnątrz, bądź z gorliwości kościół był zawsze szczelnie wypełniony. Wewnątrz, tu i tam zatrzepotał manometr czyjejs ręki lub pojawiał się bezdźwięczny przyjazny grymas poradzonej twarzy potwierdzający znajomość. Każde powitanie było jakby potwierdzeniem i upewnieniem bytu i losu. Po nabożeństwie masa ludzka wyrażała się po schodach, ku utrapieniu kierowców wyciekając grupkami na jezdnię. Tu społeczny mores miło zaskakiwał: nikt nie trąbił, nie złorzeczył. Odruch kultury sprawiał jedynie, że brwi kierowców unosiły się z wyrozumieniem. Rozchodzenie się z kościoła trwało ociągliwie, a pobliskie, najczęściej polskie, kawiarnie stawały się ośrodkami towarzyskiej lub kulinarnej lojalności. Nikt się nie spieszył, a pogaduszki, plotki i wspomnienia były słodką dystrakcją szarego tygodnia.

Innym ośrodkiem, który dotrwał do moich powojennych czasów, był klub „Białego Orła” przy High Street Kensington, sąsiadujący na tyłach z Hyde Parkiem. Masywny, piętrowy architektoniczny tort został oddany na czas wojny polskiemu

wojsku, które z kolei przekształciło go w klub wojskowy. Można sobie jedynie wyobrazić, jak intensywne musiało być jego funkcjonowanie w okresie natężenia działań wojennych. Za mojej pamięci „Orzeł Biały” był już tylko elegancką, pretenstjonalnie wykwinną restauracją, klubem i miejscem spotkań współziomków. Tu odbywały się bale, wesela i inne towarzyskie imprezy. W 1948 roku jego rola ewidentnie została przyćmiona brakiem pieniędzy w kieszeniach polskich klientów, klub powrócił do statusu *quo ante* i niebawem stał się hotelem.

Dwie inne instytucje przyciągały Polaków z równie magnetyczną siłą. Atrakcja ich obu polegała w dużej mierze na dogodnym umiejscowieniu w Londynie na osi geograficznej wschód – zachód. Restauracja p. Dakowskiego, funkcjonująca pod nazwą „Chez Daquise” przy stacji kolejki South Kensington, znajdowała się w centrum węzła komunikacyjnego kolejek podziemnych i autobusów. Jedną z nieprzypadkowych atrakcji tej instytucji tkwiła we wdziękach szczególnie dobieranych polskich kelnerów. Czar „Chez Daquise” i jego korzystne położenie na przelotowym szlaku transportu miejskiego sprawiały, że można się tu było spotkać ze znajomymi między jedną kolejką a drugą lub właśnie po nabożeństwie w Brompton Oratory.

Pobliskim sąsiadem „Chez Daquise”, idąc w górę do końca Exhibition Road, po prawej stronie, tuż przed wjazdem do Hyde Parku, znajdował się <club> pod nazwą „Ognisko Polskie”. Mieścił się on w rzędzie dwupiętrowych budynków przy tej ulicy. Dziewiętnastowieczny brak architektonicznej wyobraźni upstrzył wiele części Londynu szeregami takich klonów. W imperialnych czasach musiała to być prywatna rezydencja zamożnego urzędnika Colonial albo Home Office, przekształcona następnie w przystojny, klubowy dom i restaurację. Było to przestronne miejsce wykorzystywane na produkcje kulturalne i amatorskie występy sceniczne, przyciągające współziomków łaknących bardziej wybrednej atmosfery niż bezduszne brytyjskie kawiarnie. Obejmowało ono również restaurację. W „Ognisku” można było zastać starszych oficerów, tak liniowych, jak i sztabowych, włączywszy gen. Andersa i jego żonę, co samo w sobie nadawało restauracji charakter zdemokratyzowanego, ale jednak – kasyna. Poza elitą byłych wojskowych można tam było spotkać polityków, osobistości byłej polskiej dyplomacji i establishmentu, arystokrację, literatów. Mimo rozbieżnych politycznych przedwojennych orientacji emigracyjna polskość łączyła podówczas w „Ognisku” wszystkich.

W przyległych okolicach, położone na południe były jeszcze dwie inne instytucje, z których jedna dochodziła swych dni jako udogodnienie wojenne. Był to „Dom Lotnika” na Eggerton Gardens. Działał on na zasadzie domu noclegowego dla wojskowych tej branży. Za moich czasów klientela była już całkiem przerzedzona i bardziej lotna niż lotnicza. Drugą instytucją to „Piekiełko”, lokal

znajdujący się jeszcze bardziej na południe od poprzednich. Jego położenie w wysokiej suterynie nie przynosiło mu ujmę jako klubowi, wprost przeciwnie – lokal funkcjonował dopiero grubo po zmierzchu. Główną jego atrakcją były popularne występy artystyczne polskich piosenkarzy, a także wczorajszych lub debiutujących artystów. Produkowane były głównie kompozycje Hemara, który sam często się tam pojawiał. Klientelę stanowili starzy i młodzi, którzy przychodzili do „Piekiełka” w poszukiwaniu uwolnienia od napięć emigracyjnych. Jednych i drugich wabiły sentymentalne wzloty i srebrny tenor pana Ruszały, jak również obecność przedstawicielek płci pięknej – zarówno na estradzie, jak i wśród słuchaczy. Nic nie „szczypało” duszy z równą siłą, jak piosenki, z których niejedna opiewała czasy kampanii w Tobruku, Neapolu, Monte Cassino a także te urojone, w których pojawiały się romantyczne, ciemnookie, włoskie madonny. Rozmarzona młoda klientela i przedstawiciele starszego pokolenia upuścili tu niejedną stęsknioną łzę słowiańskiej duszy.

Charakterystyka polskich przedwojennych ugrupowań politycznych w kraju zaczęła ujawniać się teraz za granicą. Podczas wojny akcja zbrojna i inne priorytety nie dopuszczały politykowania w szeregach wojskowych. Natomiast powojenny cywilny Londyn rozluźnił atmosferę i stworzył korzystną przestrzeń, w której starszych panów objął ponownie polityczny ferment.

Prócz kulturalnych i towarzyskich kontaktów istniały również polskie media. Autorzy, dziennikarze, wydawcy, redaktorzy, byli politycy, myśliciele, których powojenna sytuacja polityczna wyniosła na kulturowe płycizny, byli teraz gotowi zasilić emigracyjną niwę twórczą i publicystyczną. Ich prace zaczęły pojawiać się w periodykach i w wydaniach książkowych. Związek Polskich Pisarzy na Emigracji powziął uchwałę o niepublikowaniu prac swoich członków w komunistycznej Polsce. Stało się to ze szkodą dla czytelników w kraju, ale tym gorętszy stał się impet autorskich talentów na emigracji. „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” był jedynym polskim medium codziennym. „Dziennik Żołnierza” miał swoją chwalebłą historię, towarzysząc siłom II Korpusu przez całą kampanię od Palestyny po Anconę i tak jak jego macierzysta organizacja wojskowa dojechał do Anglii, gdzie i on przeszedł do cywila”, przyciągając czytelników z grona byłych kombatanów.

Jutrznią kultury polskiej, periodykiem najwyższej klasy – włączywszy w to papier, na którym go drukowano – był tygodnik „Wiadomości”. Pod własną redakcją Mieczysław Grydzewski przeniósł do Londynu przedwojenną tradycję, wabiąc literacką śmietankę emigracyjnych autorów. „Wiadomości”, jak też inne pisma na uchodźctwie, ogniskowały wokół swojej orbity lojalnych autorów i czytelników. Periodyki te rozchodziły się do wielu zakątków i skupisk emigracyjnych poza Anglią. Kartoteki abonentów stały się najlepszym wskaźnikiem

zainteresowań życiem intelektualnym i kulturą. „Wiadomości”, pod patronatem swojego redaktora⁷, mogły się poszczycić najwyższym poziomem literackim i znawstwem publicystycznym.

Innym źródłem polskiego słowa było Katolickie Centrum Wydawnicze i Publikacyjne „Veritas”⁸, własność fundacji o tej samej nazwie, pod naczelną redakcją przedwojennego redaktora poznańskiej „Tęczy” Józefa Kisielewskiego. Pierwotną podstawą ekonomiczną Fundacji był tygodnik „Życie”⁹. Pismo umieszczało na swoich łamach teksty o wyraźnym profilu katolickim, miało orientację kulturową, wypowiadało się na tematy społeczne i religijne. Wiele miejsca poświęcało problemom międzywojennym i zagadnieniom historycznym. „Veritas” miał szeroko i odważnie zakrojony program. W latach pięćdziesiątych powstał popularny tygodnik o charakterze parafialno-nowinkarskim pt. „Gazeta Niedzielną”. Jej akuszerem, a później dożgonnym redaktorem, był pisarz Jan Bielatowicz. W późniejszych latach „Veritas” podjął się wydawania książek autorów emigracyjnych. Systemem ich finansowania były subskrypcje. Prócz tych pozycji „Veritas”, mając własną drukarnię, wydawał również wiele postronnych pisemek, broszur i gazetek dla osób o specyficznych zainteresowaniach. Tu były również drukowane gazety w językach emigracyjnych ugrupowań innych ujęzionych krajów, wśród nich gazeta rumuńska i litewska. Polskie wydawnictwa nie tylko przyciągały rozproszone polskie talenty, ale także ułatwiały spotkania i kontakty między twórczymi osobami. Przez parę lat w „Veritasie”, w dziale administracji, poetka Beata Obertyńska dorabiała do swojej skromnej emerytury. Główną dla niej atrakcją był jednak żywy kontakt z tworzywem literackim i autorami, którzy często tam zachodzili właśnie dla utrzymania kontaktów. Można tu było spotkać Teresę Skórzewską¹⁰, Anatola Krakowieckiego¹¹, Jędrzeja

⁷ Mieczysław Grydzewski i Antoni Borman byli współtwórcami „Wiadomości Literackich” w 1924 r.

⁸ W 1947 roku została powołana w Londynie fundacja pod nazwą „Veritas Foundation”. Jej inicjatorem by ks. Stanisław Belch. Celem jej było niesienie pomocy studentom oraz kandydatom na studia. Fundacja pomogła w utworzeniu w Londynie tygodnika „Życie” i powołała do życia Katolicki Ośrodek Wydawniczy. Inicjatorem fundacji by ks. Belch, katecheta akademicki.

⁹ Redagowany przez Jana Tokarskiego.

¹⁰ Teresa Skórzewska, literatka.

¹¹ Anatol Krakowiecki (1901–1950), pisarz, dziennikarz, więzień sowieckich łagrów. Znany z publikacji *Książka o Kołymie*, Veritas, Londyn.

Giertycha¹², Tadeusza Felsztyna¹³, Jerzego Zdziechowskiego¹⁴, ks. Stanisława Bełcha¹⁵, prof. Jelonka, Stachurskiego, Kazimierza Pacewicza¹⁶. Inną pozycją dziennikarską było „Prosto z Mostu”¹⁷, którego rodowód wywodzi się z przedwojennej Polski. Stronnictwo Narodowe pod batutą prezesa Jana Bieleckiego miało więc w Londynie wiernych wyznawców.

Organizacja „Allied Circle”¹⁸ to pozostałość z czasów wojny, pomyślana jako miejsce spotkań młodych członków różnych narodowości utrzymujących wielokulturowy kontakt towarzyski na obcym gruncie.

Zwartą grupę osób zaprzyjaźnionych, przepelnionych entuzjazmem i energią, stanowili młodzi, których ciekawość odkrywczą była jakby przedłużeniem wojennej sagi. Ci byli całkowicie wolni, nieobciążeni lojalnością społeczną ani obowiązkami rodzinnymi. Jedynym ich ładunkiem była konieczność ustalenia życiowej roli i przymierzenie się do własnej przyszłości. Młodzież zbierała się na towarzyskich spotkaniach, sportowych wyczynach, balangach, dancinгах, eskapadach do dostępnych podmiejskich kąpielisk lub nad morze. Wycieczki rowerowe pozwalały na odkrywanie odleglejszych rejonów kraju.

Punktem odniesienia w tym horyzoncie była pani Hanka Załęska z Barkston Gardens, której przestronny salon i równie ogromne serce jarzyły się niczym latarnia morska. Jej dom wyróżniał się tym, że jego właścicielka odznaczała się entuzjazmem w przyciąganiu młodzieży i pomysłowym organizowaniu jej towarzyskich rozrywek. Biły od niej optymizm, pogoda ducha i gościnność. Mimo podeszłego wieku obdarzona była szczególnym zainteresowaniem i zrozumieniem młodzieży i jej potrzeb. Nigdy się nie dowiedziałem, czy miała własne dzieci, ale jej zachowanie miało silne cechy macierzyńskie. Pani Hanka urządziła pra-

¹² Jędrzej Giertych (1903–1992), polityk, dyplomata, publicysta, jeden z przywódców Stronnictwa Narodowego, sympatyk faszyzmu. Wydalony ze Stronnictwa Narodowego za krańcowe zapatrywania polityczne. Ojciec dziewięciorga potomków.

¹³ Tadeusz Felsztyn (1894–1983), w czasie I wojny światowej legionista, a w trakcie II więzień obozu sowieckiego w Kozielsku; publicysta (współautor „Dziejów 2 Korpusu”), członek Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie.

¹⁴ Jerzy Zdziechowski, ekonomista, poseł na Sejm II RP, były minister skarbu RP w latach 1925–1926.

¹⁵ Ks. Stanisław Bełch (1904–1989), duszpasterz akademicki, wydawca, tłumacz, autor wielu publikacji, współzałożyciel fundacji „Veritas”.

¹⁶ Kazimierz Pacewicz (1895–1974), artysta malarz, członek Komitetu Organizacyjnego Grupy Paryskiej Plastyków Polskich.

¹⁷ Prawicowy tygodnik literacko-artystyczny wydawany w latach 1935–1939, którego redaktorem był Stanisław Piasecki. Jego publikację wznowiono w Londynie.

¹⁸ „Allied Circle”, działająca w latach 1943–1963 organizacja mająca na celu umożliwienie kontaktów między znaczącymi przedstawicielami imigrantów i ułatwienie im dyskusji o powojennych zagadnieniach społecznych.

wie co weekend spotkania i wieczorki towarzyskie, na których zawsze można było spotkać znajomych. Każda pora dnia była dla niej dogodna, zawsze można było wpaść i porozmawiać. Od pierwszego razu zostałem ogarnięty czarem jej osoby i atmosferą przyjaźni. Poznawało się tam ludzi z bliskiego środowiska, odkrywało się krewnych i powinowatych, swoich i sympatycznych. Obecność płci pięknej przyciągała wielu z nas. Pani Załęska była dla nas instytucją i utrwaliła się pamiętnie na naszym londyńskim firmamencie.

Określenie „młodzi” jest zwodniczym wskaźnikiem nawet w zestawieniu z chronologicznym punktem odniesienia (czyt.: ze starszymi). W latach 50. byliśmy zespołem, którego energii i wizji nie umniejszał brak kwalifikacji zawodowych, znajomości kulturowego moresu ani płynnej znajomości języka. Spotykaliśmy się często, w lecie jeździliśmy na zamiejskie tury rowerami, do Virginia Waters i nad morze do Margate lub Brighton. Lekko zakrapiane zabawy z tańcami wypełniały wolny czas. Temat przyszłości był stałą osnową rozmów, w których emigracja z Wielkiej Brytanii stawała się coraz wyraźniejszą opcją. Rankor¹⁹ wobec Anglii jątrzył nieprzerwanie, mimo że czas nam go obłaskawiał. Procedury odnoszące się do emigrantów, wyspiarska małostkowość w myśleniu i pedanteria, utrzymywane w duchu fair play²⁰, krepowały dynamikę, uziemiały wyobraźnię i tłumiły fantazję.

Długotrwała, spowodowana wojną i służbą wojskową segregacja mężczyzn i kobiet zaczynała teraz dawać o sobie znać, stając się krytycznym probierzem wizji przyszłości dla tych, którzy potrafili przedłożyć ją ponad krótkotrwałe spełnienia. Nie było to proste, gdyż młodych czy nawet nie tak młodych Polek na wydaniu nie było wiele. Były na emigracji kobiety, które po wyjściu z Rosji zostały wcielone do PSK²¹ w II Korpusie, ale wiele z nich weszło już w związki. Niejedno małżeństwo nie przetrwało rozłąki wojennej i niektórzy szukali nowych powiązań. Życie towarzyskie układało się pod tym kątem i sprzyjało nawiązywaniu kontaktów.

Ludzie stawali przed dylematem wyboru: Polka albo Brytyjka. Tym, co utrudniało decyzję, by ująć to w terminologię merkantylną, był brak podaży poszukiwanych obiektów. Wynik życiowych dylematów ważył się między emigracją a osiedleniem w Wielkiej Brytanii, a każda decyzja pociągała za sobą łańcuszek konsekwencji. Była to chwila, w której ważyła się przyszłość młodego Polaka. Kulturowe odcięcie od korzeni i rodzin w Polsce, problem wychowywania przyszłych dzieci, wrastania w brytyjskie społeczeństwo itd. Parę lat pobytu w Anglii było dość długim okresem na przemyślenie i decyzje. W latach 1948–1953 zostało zawartych wiele polskich małżeństw, których

¹⁹ rankor – silne uczucie gniewu, złości, żalu [przypis A.R.]

²⁰ Reguły gry.

²¹ PSK: Pomocnicza Służba Kobiet w II Korpusie Polskich Sił Zbrojnych.

znaczna część szybko wyemigrowała do Australii, Ameryki, Argentyny, Afryki. Kanada nęciła bliskością Stanów Zjednoczonych. Zaraz po wojnie wyjechało tam 20 000 osób, co do roku 1951 powiększyło liczbę osób polskiego pochodzenia w Kanadzie do 220 000.

ODBICIE OD BRZEGÓW

Brak przestrzeni i brytyjska inność tworzyły rzeczywistość, w której wielu z nas nie potrafiło się odnaleźć. W roku 1963 moje plany na przyszłość miały już czas dojrzeć i stężeć. Wbrew przyjaznym namowom odrzuciłem wyjazd do Argentyny, choć otarłem się o kulturę łacińską i wydawało się że Argentyna byłaby dla mnie logicznym i racjonalnym wyborem. Niemniej już wtedy potrafiłem odróżnić pierwiastek łacińskiego systemu językowo-kulturowego od anglosaskiej sprawności społecznej, porządku w organizacji ekonomicznej i zasad fair play. Ciekawe, że to, co pierwotnie drażniło w Anglii, teraz pojawiło się jako atut, pomagając w wyborze. Pobyt w Wielkiej Brytanii okazał się szczęśliwą inwestycją nie tylko pod względem językowym, ale również jako wdrożenie w trzeźwą i chłodną kalkulację systemów funkcjonalnych. Anglia była modelem do podziwiania w swej sprawności, porządku i kulturze, ale za mało atrakcyjna, by tam pozostać. Bliskość Europy i dwujęzyczność Kanady utwierdziły moją decyzję, by się tam osiedlić. Słowo „osiedlić” było jednak wtedy dalekie od moich zamierzeń. „Pojechać” byłoby trafniejszym ujęciem, gdyż pozostawiało przyszłość otwartą. Rozpierała mnie żądza przygód, zadufanie we własne siły, rozpęd i w dużym stopniu wyobrażenie owego kraju oparte na lekturze z młodych lat i lekcji geografii. Tu ślepy pęd zszedł się korzystnie z koniunkturą.

Decyzja wyjazdu nie była jednak pozbawiona dylematu. W Londynie zostawiałem rodziców i siostrę, a wizja rozstania z nimi dopiero teraz mną o władnęła. Tak jak stan trwania często przesłania doniosłość przemijania, tak i tutaj, dopiero w porcie Southampton, uzmysłowiłem sobie doniosłość wydarzenia dla mojej matki, żegnającej mnie i wyprawiającej w nieznaną przestrzeń na nieokreślony czas. Z wysokości pokładu statku „Georgic” jej zmniejszona sylwetka czekająca na odbicie okrętu właśnie wtedy, na wyrost, uzmysłowiła mi namacalnie dramat rozłąki macierzyńskiej.

Procedury na Wigmore Street w konsulacie kanadyjskim były krótkie i proste. W owym czasie biali, młodzi, nieżonaci z fachem w rękę mieli pierwszeństwo. Byłem jednym z nich.

Nie mając specjalnych upodobań geograficznych ani upatrzonego zakotwiczenia w Kanadzie, wybrałem Winnipeg jako punkt docelowy. Miasto leżało w centrum, z którego zamierzałem odkrywać kraj na zachód, wschód i północ.

Przywiązanie do łacińskiej kultury nigdy mnie nie opuszczało, miałem więc plan, by z prerii przenieść się na wschód do francuskiego Quebecu, a odkrywanie odłożyłem na jakieś mgliste kiedyś.

Wielodniowa podróż pociągiem z Halifax do Winnipeg, a potem do Regina stolicy prowincji Saskatchewan, była jak przewijający się travelog²² odrębnych krain. Pierwsze zetknięcie i wrażenia zapamiętywałem jak każde nowe zakodowane miejsce, do którego powraca się myślą później, ale potem wrażenie to już nigdy nie wraca takie samo, jest pozbawione pierwotnego, dziewiczego wrażenia. Mimo pory roku (kwiecień) duże obszary kraju pokryte były połaciami śniegu, a jeziora opancerzone lodem. Chłonałem zachłannie widoki, nie bez skojarzeń z obrazami syberyjskiej tajgi położonej na podobnej szerokości geograficznej.

KANADYJSKA EGZOTYKA

Czego się zupełnie nie spodziewałem, na stacji w Moose Jaw (dosł. Łosio-wa Szczęka) czekał na mnie mój przyszły pracodawca Ralph Purdy. Swoim pięknym samochodem zabrał mnie do domu, po czym – po długiej rozmowie i naszkicowaniu mi «wizji lokalnej» – odwiózł mnie do mieszkanca, które dla mnie wynajął. Uczucie orzeźwiającej prostoty, otwarcia, przyjaźni, wzajemnego zaufania jako punktu wyjścia w relacjach międzyludzkich uderzyło mnie od samego początku. Fascynujący świat, na który jak na żywy obraz – miałem czas nanieść wszystkie oglądane i przeczytane westerny. Nagle znalazłem się w samym centrum egzotyki. Z każdym dniem wylaniały się nowe, prawdziwe sytuacje. Farmerzy, tu zwani *ranchers*, naprawdę nosili się jak na obrazkach i w filmach. Jeździli konno i pędzili przed sobą trzody liczące setki sztuk bydła, tyle że nie mieli broni za pasem.

Jednym z moich europejskich nawyków były długie spacery, które tu, na miarę przestrzeni, stały się nieograniczone, jakby mapa rozchodziła się pod stopami. Nie znając okolic, zacząłem od marszu pobocznymi szos, na których nie można było zabłądzić. Co chwila jadące w tym samym kierunku samochody zatrzymywały się, a kierowcy, współczując, że muszę iść piechotą, proponowali podwiezienie. Człowiek szedł, więc trzeba go podwieźć. Wybawieniem od tej hojności stała się ścieżka wzdłuż torów kolejowych. Okazało się również, że mój angielski płaszczyk i ubranie nie sprawdziło się w tutejszych warunkach, nie tylko pod względem stylu i mody, ale nie wytrzymało empirycznej próby. Pierwszej zimy temperatura spadła do -52°C.

²² Przewodnik podróży.

W Łosiowej Szczęce czułem się jak na innej planecie. Żyłem oderwany od wszystkiego, co mi było znane i bliskie. Po roku pierwszy ciepły rodzimy promień padł niespodziewanie, gdy w drzwiach mojej kawalerki stanął Piotr²³. Choć jego fizjonomia była mi znajoma, o tyle jego niespodziewane pojawienie się w tej egzotyce sprawiło, że z trudem go poznałem. Wanda Krasińska, z którą byłem w bliskim kontakcie w Londynie, napisała do swojego wuja, w Regina, że wyemigrowałem na prerie. Piotr Czartoryski wyjechał do Kanady 4 lata wcześniej i po przyjeździe osiedlił się z żoną Anną i trojgiem dzieci na saskatchewańskim ranchu. Tu wydzierżawił tzw. sekcję²⁴ ziemi i na niej hodował bydło. Po kilku latach niewiarygodnie ciężkiego pionierstwa²⁵ przeniósł się do Regina, stolicy prowincji Saskatchewan, gdzie życie całej rodziny stało się znośniejsze, mniej fizycznie i społecznie uciążliwe. Historia ich emigracji z Polski do Włoch, później z Anglii do Kanady była fascynującą epopeją. Od chwili naszego spotkania moja aklimatyzacja w tym egzotycznym pustkowiu została znacznie przyspieszona. Łatwiejsze stało się dla mnie także zrozumienie kanadyjskiego społeczeństwa, w zestawieniu ze specyfiką naszego europejskiego, nie mówiąc o naszej rodzimej polskiej kulturze.

Okres naszego wspólnego życia w tym preryjnym, iście pustynnym kraju, zapisał mi się pamiętnie. Ciepło i atmosfera domu Piotra i Anny była mi bliska i pokrewna i w tym zakątku świata odbierałem ją jako wybawienie. Jego doświadczenie kanadyjskie i wiedza wyposażyły mnie w lokalny posmak i *savoir survivre*²⁶. Chłonałem wszystko, z czym jako przybysz miałem się niebawem sam spotkać. Nasze obcowanie wypełniło wiele luk z polskiego przedwojennego życia i stosunków, których nie miałem czasu ani zaznać, ani poznać. Posmak życia na preriach i ludzkich przyjacielskich stosunków uprzytomniły mi podłoże osiedlania się w tej niedawno odkrytej ziemi. Z Piotrem spotkałem się jeszcze na krótko na przestrzeni lat po wyjeździe z Saskatchewanu. Najdłużej widzieliśmy się, gdy pojechałem do niego, wtedy już wdowca i emeryta w Vancouver, aby nagrać z nim wywiad. Chciałem upamiętnić wszystko to, co się między nami nazywało, jego przedwojenne i wojenne perypetie i jego samego. Piotr odszedł w 1993, nim zdążyłem przesłać mu zredagowany tekst.

Pierwszymi wrażeniami, jakie pamiętam z Kanady, były wielka przychylność i uderzająca łatwość nawiązywania kontaktu z ludźmi. Musiałem się oswoić z nagminnym zwracaniem się po imieniu od pierwszego spotkania. Oczywiście

²³ Piotr Michał Czartoryski (1909–1993), najmłodszy syn księcia Witolda z Pełknień.

²⁴ Jedna sekcja to 640 akry.

²⁵ Zaraz po wojnie, jednym z warunków emigracji do Kanady były 2 lata pracowane na roli. [Emigranci byli zobowiązani odpracować dwuletni kontrakt pracy fizycznej, najczęściej w rolnictwie, ale niektórzy w innych sektorach. – przypis A.R.]

²⁶ Umiejętność przeżycia.

polskich emigrantów na preriiach było bardzo wielu, ale odległości na tych olbrzymich połaciach mierzyło się bardziej przepustowością dróg i korzystną pogodą niż ilością odmierzanych mil. Naturalnym miejscem polskich spotkań był kościół parafialny w Regina pod wezwaniem św. Antoniego. Kościół ten mógłby stać w Łącku albo w Nowym Targu i nie odbijałby od tła. Energiczny proboszcz ksiądz Gocki przekazywał swoim parafianom religijny ferment i patriotyzm z zapalem godnym neofity. Co niedzielę kościół napełniał się farmerskim wiernym ludem, by w rodzimym języku chwalić Boga, wymieniać plotki i utrwałać pobratymstwo. Pieniądże zbierane w kościele wkładało się do kopert z wydrukowanym nazwiskiem ofiarodawcy, by ów mógł sobie odjąć datkę od podatków. Można i tak.

PODRÓŻ NA WSCHÓD

Odnawiwszy londyńskie kontakty w Montrealu, miałem się gdzie zatrzymać. Pięciodniowa podróż samochodem na wschód prowadziła skrótem przez Stany Zjednoczone. Epopeja sama w sobie. Anna, żona Piotra miała w Montrealu siostrę, Różę Tarnowską, żonę Artura. Aby się z nią spotkać postanowiła skorzystać z okazji by się ze mną zabrać. Trasa przecinała dzikie połacie lasów i ugory, na których jak paciorki, pojawiały się osiedla i miasteczka. Podróż nie była pozbawiona wrażeń: raz natknęliśmy się na olbrzymiego łosia²⁷, który nieopatrznie (dla niego) przemierzał skokami szosę, gdy właśnie nadjechał samochód. Kierowca przeżył, choć mocno poturbowany, ale zwierzę zostało zabite. Z samochodu nie wiele zostało.

Po drodze zatrzymaliśmy się w Oshawie, koło Toronto, dokąd parę miesięcy wcześniej przybyła z Wiednia rodzina młodych Scottów, moich znajomych ze Lwowa sprzed wojny. Byli to dwaj bracia Elgin i Ralph oraz ich żony. Cała czwórka zdezorientowana w nowym otoczeniu, teraz musiała godzić swoją dyplomatyczną europejskość z kanadyjską rzeczywistością fabryki General Motors. Scottowie stracili grunt pod nogami w Polsce, gdy komuniści niedługo po wojnie wyprosili ich ojca, brytyjskiego konsula, potraktowanego jako *persona non grata*. Wtedy rząd Jego Królewskiej Mości przeniósł George'a Scotta na placówkę dyplomatyczną do Wiednia. Ale młodzi nie znaleźli tam miejsca dla siebie i, zostawiając rodziców, sami wyemigrowali do Kanady.

Kilkudniowa wizyta u Scottów pokrzyżowała jednak moje plany. Uległem namowom przyjaciół, by się u nich zatrzymać na dłużej. I tak tymczasowość przedłużyła się o półtora roku. Bliskość metropolii Toronto przymnożyła kontakty

²⁷ Tu zwanego *moos*.

i rozwinęła znajomości. Wśród nowych znajomych było kilka młodych małżeństw, które zaczynały wrastać w kanadyjską glebę. Młodzi adaptowali się w przemyśle, który teraz ruszył powojennym galopem i łatwo chłonał ręce zdolne i chętne do pracy. Najwcześniejszy kontakt to bracia Gorzkowscy z siostrą Heleną i rodzicami. Halszka i Jaś Plater-Zyberk byli moimi znajomymi z Londynu. Poznałem w owym czasie redakcję polskiej gazety „Głos Polski”²⁸, wydawcę B. Heydenkorna²⁹ i redaktora Zybałę³⁰, z którym było mi dane współpracować kilkakrotnie.

RAWDON-RAWDON

Jesień 1954 r. objawiła się jako jarzący kobierzec różnobarwnych liści zalegający całą przestrzeń wokoło. Jazda z Montrealu do Rawdon późną nocą była równie szalona jak atmosfera wśród pasażerów obu aut. Mały wypadek po drodze nie tylko nie przytłumił podniecenia, wprost przeciwnie, przyczynił się do nastroju chwili. Naszym przewodnikiem i, prowodyrem była Maryś Siemieńska, która z racji swojego pokrewieństwa z Wilkiem Siemieńskim wprowadziła nas do domu swojego kuzynostwa. Miast klucza użyła podręcznego scyzoryka, aby wśliznąć się przez okno do pustego domu. Wnętrze nie pozostawiało wątpliwości co do swego charakteru. Jak w wielu polskich mieszkaniach na ścianie wisiał ludowy kilimek, fotografie przedwojennych dworskich rezydencji anachronicznie zestawiały się z nowym locum: młode sylwetki na wierzchowcach, po polowaniu drobna i gruba zwierzyna poukładana na śniegu lub drabiniastych wozach, znane słowiańskie świątki, krucyfiks nad drzwiami, ładne gliniane, wiejskie łupki, na półce książki w znajomych obwolutach. Polski dom, jak wszędzie na świecie. I więcej, zdjęcia bardziej niż cokolwiek innego mówiły swoim językiem. Rytuał oglądania cudzych fotografii tu był znakiem rozpoznawczym i szczególnego upewnienia jakiejś ciągłości.

Nazajutrz, gdy rozwiały się opary *primae noctis*³¹, przez otwarte okno wionęło powietrze przepojone zapachem rosy osiadłej na igliwiu i listowiu w dalekim skojarzeniu innych miejsc i czasów. W jarzącym słońcu poranka na przedpołu objawiła się panorama tego, co miało później wyznaczać ulice miasteczka. Na małych parcelkach, tu i tam, niczym w szczerbatej klawiaturze, widać było

²⁸ „Głos Polski–Gazeta Polska” – tygodnik wydawany w Toronto, organ Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie [przypis A.R.].

²⁹ Benedykt Heydenkorn (1906–1999) dziennikarz i działacz polonijny: w latach 1952–56 jeden z redaktorów „Głosu Polskiego-Gazety Polskiej”, a później „Związkowca” [przypis A.R.].

³⁰ Stanisław Zybała (1919–2010), dziennikarz, redaktor, literat; od 1956 r. pracownik urzędów federalnych w Ottawie [przypis A.R.].

³¹ Pierwszej nocy.

zaczęte lub całkiem wykończone imigranckie gniazda przyszłych mieszkańców. Na innych budulec nakryty plandeką czekał cierpliwie na inwestycyjne fundusze rodziny, by stać się dachem nad głową. Osiedle robiło wrażenie rzadko zadrzewionego lasku z tu i ówdzie rozrzuconymi strzelistymi wiechami kopulastych sosen. Od przelotowej ulicy o angielskiej nazwie odchodziły, grzebieniastym wzorcem korników, ekscentrycznie dopływowe uliczki, przy których przycupnięte stały jednopiętrowe kanadyjskie domki. Ze środka osiedla, jak w każdym quebeckim miasteczku, grotem krucyfiksu wbijała się w niebo kościelna wieża.

Maryś oprowadziła nas po miasteczku, wskazując miejsca, gdzie w tym czasie zakotwiczeni już byli jej czy nasi wspólni znajomi, rozlokowani po zachodniej stronie w niedalekich odległościach od siebie.

Świeże jeszcze doświadczenia wojenne wywoływały pytania na temat odczuć lokalnych mieszkańców oraz kanadyjskiej rzeczywistości w tym samym okresie. Co przeżywało społeczeństwo z tej strony oceanu w trakcie niedawnych epokowych wydarzeń? Czy etos był porównywalny? Chodziło nie tylko o wyobrażenie dalekiego, europejskiego, śmiertelnego konfliktu, ale też o to, że właśnie prostych ludzi z takich domków los wessał w maszynę wojenną rozpętaną przez nas, Europejczyków. Jak godzić rozdział na „my” i „oni”? My, winni wzniesienia europejskiej wojny, i oni, którzy po raz drugi w ciągu 35 lat zostali powołani, by oddawać za nas życie. Coś zgrzyta.

Emigrant – ten, którego współziomkowie pozostali za morzem, w pieleszach starego kontynentu i własnego kraju. A on, jakiegokolwiek pochodzenia – Włoch, Litwin, Francuz czy Irlandczyk – zawierzył własnym siłom, oderwał się od korzeni, popłynął w nieznaną, by stać się członkiem nowej, obcej społeczności. Jutro przestanie mu być obca i pod nowym sztandarem oraz innym hasłem może go powołać do ratowania zamorskich współbraci. Oni, którzy nas teraz tu przyjmują, to jutrzejsi „my”, obywatele naszej nowej zbiorowości. Jakie hasła w przyszłości wezwą nas lub nasze dzieci do akcji ratunkowej w odległych stronach, tak jak teraz niedawno wezwały ich? Gdy jedni szablą odbierają, to giną za nich też inni. A może po prostu za jak najbardziej ludzką „naszą i waszą wolność”?

Charakterystyka dwoistości demograficznej francusko-angielskiej stwarzała sprzyjającą przestrzeń dla innych etnicznych grup wedle zasady „gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta”. Rawdon, mimo swojego położenia w Quebecu, był w większości anglojęzyczny. Polonia rawdońska natomiast była samorzutnie francuskojęzyczna, co bardziej jeszcze ułatwiało obustronne zbliżenie nowo przybyłych z gospodarzami prowincji. Znaczenie miała tu nie tylko wielkość grupy napływających innych, lecz także to, że Polacy, którzy się tu osiedlali, na zewnątrz w życiu codziennym posługiwali się językiem francuskim, mniejszościowym w Kanadzie, ale używanym przez większość mieszkańców Quebecu.

Nazwy określające grupy etniczne automatycznie wiązały się z ich identyfikacją językową. Niezależnie od rodzimych kultur przybyszów, np. rumuńskiej, arabskiej, hiszpańskiej czy słowiańskiej, ich funkcjonowanie w kanadyjskim społeczeństwie miało tylko dwie opcje: angielską lub francuską. Określenie *allophones* utarło się jako trzecia opcja, odnoszona do wszystkich nowo przybyłych „etników”, których językiem macierzystym nie był ani angielski, ani francuski. Nie miała ona zabarwienia waloryzującego. Nazywanie takich nowo przybyłych albo anglofonami, albo frankofonami byłoby zwodne, ponieważ posługiwanie się jednym lub drugim językiem nie określało ich przynależności etnicznej. Dlatego człon *-phones* nie utożsamiał ich etnicznie, lecz językowo.

Termin „wielokulturowość” jako kanadyjski model społeczny miał się znaleźć w formalnym programie polityków dopiero w latach 70. Niemniej empiryczne doznawanie jego ducha obejmowało nowo przybyłego od początku. Tolerancja inności nowo przybyłego lub dawno przybyłego była dewizą. Nie ulega wątpliwości, iż dwoistość kulturowa Kanady miała w tej dziedzinie niemałe zasługi i, w odróżnieniu od innych krajów, była udanym eksperymentem.

Niezależnemu przybyszowi wolność dawała poczucie oderwania od korzeni i zawieszenia w przestrzeni, którą wypełniała wizja pojawiających się wyborów. Dla mnie powab rawdońskich kontaktów był silniejszy od trudu i wielogodzinnego dojeżdżania z Oshawy. Jednakowoż po półtora roku galijsko-słowiański zew przeważał szalę, przenieśliśmy się do Montrealu, tym razem na stałe.

Zawiązujące się polskie skupisko w Rawdon miało charakter rekreacyjny, wypoczynkowy od pracy zarobkowej w metropolii. Co więcej, weekendowe spotkania ze współziomkami wypełniały ową patriotyczną przestrzeń kulturową, nie mówiąc o isticie rytualnych eskapadach w plener tych, którzy mieli motywacje i... samochody.

Nie zdawałem sobie jednak sprawy z wyzwania, które to przeniesienie za sobą pociągało. Po raz pierwszy znalazłem się w kulturowo rozwarstwowanym społeczeństwie anglo-franko, w którym należało sobie znaleźć miejsce nie tyle między tymi warstwami, ile w każdej z nich. Zabrało niemało czasu, by wdrożyć ucho w mowę, która tu przyczaiła się na kilkaset lat i odcięta od macierzy różniła się mocno od współczesnego języka francuskiego. Zwycięstwo Brytyjczyków we francuskiej północnoamerykańskiej kolonii 13 września 1759 r. i przejęcie jej, zatrzymało kontakty z Francją i na przeszło dwa stulecia wpłynęło na rozwój kultury frankofońskiego skupiska żyjącego w Północnej Ameryce. Niemniej wielką przyjemnością było odnalezienie elementów kultury francuskiej w różnych dziedzinach życia: w administracji, na rynku pracy, w obrzędach religijnych, w stosunkach towarzyskich. Umacniało to poczucie swojskości i ułatwiało nowo przybyłym włączenie się w nurt życia zbiorowego.

Nurt ten obejmował również polskie środowisko w Montrealu. Wielu powojennych nowo przybyłych miało już tu swoje rodziny. Jedną z głównych atrakcji weekendowych dojazdów do Rawdon był tam zdrowy, wiejski klimat – zarówno w wymiarze meteorologicznym, jak i społecznym. Miasteczko było położone u podnóża Gór Laurentyńskich, otoczone malowniczymi wodospadami, jeziorami i lasami. Sprzyjało to również dorosłym w umacnianiu i utrwalaniu własnych wartości kulturalnych. Dzielenie się macierzyńskimi problemami i wzajemne wspieranie ułatwiało codzienne życie matek podczas nieobecności ojców.

W długim okresie PRL-u napływali nowi polscy przybysze. Uchodźcy, czyli osoby, którym udało się wyrwać spod jarzma systemu komunistycznego, byli najliczniejszą kategorią. Jedni dobijali statkiem podróżując lub z węglem jako załoga lub pod węglem, inni – via Niemcy Wschodnie – pociągiem, przemycani przez granicę. Funkcjonariusze na delegacjach, dyplomaci z placówek, członkowie ekip sportowych czy osoby wyjeżdżające na kulturalne tournée, goście na bezpowrotnych wizytach czy w końcu ci, którym pozwolono emigrować – wszyscy oni pojawiali się niespodziewanie w Montrealu. Rawdon przyciągał i rósł z napływem osób, które przetrwały wojnę a były spokrewnione lub z przedwojennych czasów zaprzyjaźnione ze środowiskiem rawdońskiej Polonii. Rodzina Platerów-Zyberków – w różnych koligacjach – zapuściła tu już wcześniej korzenie. Teraz dobijali do nich bliżsi i dalsi krewni, znajomi. Każdy taki dojazd z zewnątrz elektryzował naszą wspólnotę nowym powiewem wieści o sytuacji w Polsce.

Większość miast i osiedli w Północnej Ameryce ma układ jednokierunkowy, zdradzający kierunek pionierskiego rozwoju kontynentu ze wschodu na zachód. Niektóre miasta ciągną się kilometrami, choć bywają stosunkowo wąskie. Pod tym względem Rawdon było inne – ze względu na swoją hydrografię i topografię rozwijało się kolistnie. Polacy rozsiani byli w różnych stronach miasteczka. Tak się jednak złożyło, że krąg moich znajomych i przyjaciół ulokował się w większości po zachodniej stronie miasta, bliżej dwóch jezior.

Moje wizyty w Rawdon stały się coraz częstsze i regularne. Przyciągało mnie polskie towarzystwo, wesołe spotkania z dawnymi znajomymi i nowe kontakty, pikniki, sportowe wyczyny nad jeziorem Pontbriand, zawody, wygłupy, mecze siatkówki, grzybobrania, ogniska, potańcówki i balangi. Młodzi, niemający w tym okresie zakotwiczeń rodzinnych ani obciążeń materialnych, byli lotni jak babie lato, spędzając wolny czas na beztroskich atrakcjach życia towarzyskiego. Z napływem nowych osób kojarzyły się związki, zawiązywały małżeństwa. Połączone z tym było nabywanie ziemi, budowanie domków, w dużej mierze wykańczanych własnymi siłami, zbiorowa pomoc w przenosinach dobytku własnego i przyjaciół. Powoli stawaliśmy się odpowiedzialni za rodziny i coraz bardziej zaangażowani w pracę zarobkową. Jakkolwiek polscy rawdończycy to

w istocie mieszkańcy montrealskiej metropolii, nie wszyscy z nich tu od razu ściągali. Natomiast po latach, tak ze względów ekonomicznych, jak i towarzyskich, przenosili się tu na emeryturę.

Jedną z najwcześniejszych znajomości, które tu zawarłem, była rodzina Leszka i Jadwigi Zamoyskich z czworgiem dzieci (Adam, Andrzej, Mika i Inka) oraz Wilka i Róży Siemieńskich z trojgiem młodych (Dzik, Maja, Wilczek i wiele lat później Monika). Pionierskimi osadnikami, którym należy się palma pierwszeństwa za nadanie osiedlu polskiego charakteru, byli członkowie rodzin Moszczeńskich, Zamoyskich, Siemieńskich. Ci ostatni zakotwiczyli się tu na stałe. Ich obecność okazała się magnesem dla nowo przybyłych polskich emigrantów.

W takt politycznych wydarzeń w Polsce rawdońska diaspora zasilala i wzmacniała polską grupę nowymi przybyszami. Jednocześnie nowe fale imigrantów, napływających z innych miejsc globu, podnosiły automatycznie naszą pozycję w rankingu nowo przybyłych. Miano „nowo przybyli” było luźnym, trudnym do określenia pojęciem i nie miało związku z nabyciem obywatelstwa. Wiązało się raczej z przyswajaniem języka, lokalnych zwyczajów i statusem materialnym, osiąganym często przed otrzymaniem kanadyjskiego obywatelstwa³².

W 1954 r. Polonię montrealską nawiedził pierwszy grom, który poruszył całą wspólnotę. Adolf Moszczeński, jeden z wczesnych powojennych imigrantów do Kanady, stracił życie na przejeździe kolejowym, osierocając dwie maleńkie córki (Martę i Ewę) i owdowiając żonę Myszkę Jasiukowiczównę. Adolf należał do starszej generacji. W 1939 r. dostał się do niewoli, ale wyszedł na wolność i po zakończeniu działań wojennych został przyjęty do II Korpusu. Jak wielu w owym czasie, po ewakuacji wojsk alianckich z kontynentu, został przeniesiony do Wielkiej Brytanii. Tu ożenił się i wraz z żoną wyemigrował do Kanady w 1951 r.

Z nazwisk, które zapisały się w pamięci, włączywszy już wymienione to: Leszek Aleksander Zamoyski, Frankostwo Brzozowscy, Siemieńscy seniorzy, Adolfowie Moszczeńscy, Kajetanowie Morawscy, Andrzejowie Skarzyńscy, Andrzejowie Tyszkiewiczowie, Władkowie Bławdziewiczowie, rodziny Czetwertyńskich, Kazia Platera-Zyberka, Antka Brzozowskiego, Andrzeja Madeyskiego, Toudor Nenitescou, Stanisław Siemieński jr., Maryś Siemieńska, Andrzej Sozański senior, Juliusz Serafin, Nina Gebethner, Jaś Tarnowski, Jerzy Żółtowski, Jerzy i Felida Brochoccy, Buckiewiczowie i Żółtowsy. Na dalszych peryferiach osiedlili się: Elginowie Scottowie, Zbyszkowie Lewiccy, Jan Romanowski, Zbyszczek Jaworski, Niklewiczowie, Tadeuszowie Buckiewiczowie, Mieczysław Taras, Stańczykowski, Franciszek Moskal, Basikowie, P. Szuba, Antoniowie Zalewscy,

³² W owym okresie 5 lat.

Andrzejowie Nowakowscy. Okrasą naszych kawalerskich spotkań była Halina Szally, córka polskiego generała i siostra noblisty. Dzimisia Issakov i jego kuzynka Maryna³³ pojawiali się w weekendy i czarowali młode towarzystwo. W latach 70. dojechali Binek, Stanisław Kapuściński, Dobijowie, Jerzowie Pawulscy, Ciesielkowie, Pawłowie Czaputowiczowie, Świdziński, Andrzej Forowicz. Nie wszystkich z powyższej listy znałem blisko, rozminęliśmy się bardziej w czasie niż w kanadyjskiej przestrzeni, ale ich nazwiska zapisały się w zbiorowej pamięci.

Za nazwiskami stoją sylwetki osób, ich fizjonomie, tembr głosu i charaktery. Przechodzę myślą ich poczet, w którym na czołowym miejscu pozostają zawsze Andrzej i Elżbieta Tyszkiewiczowie. Ich kanadyjski debiut od pierwszych kroków po zejściu ze statku stał się pierwowzorem pionierstwa. Andrzej, mocny i twardy jak diament, rzetelny, życiowo elastyczny, mógł być wzorem dla każdego nowo przybyłego. Brał życie za rogi jak szło. Razowy do szpiku kości, lojalny w przyjaźni wedle własnego kodu, zawsze można było na niego liczyć, tak w potrzebie, jak w rozrywce. *Bon viveur* o niespożytej energii, „dotarty” w systemie PRL-owskim, mechanik z pragmatycznej konieczności i męskiego zacięcia, dworski z kultury i rodzinnego chowu, nosił swoją nobliwość w zanzardzu, daleki od potrzeby posługiwania się nią. Nie musiał, pasował wszędzie, na wszystkich poziomach. Jego żona Ela, dobra wróżka z sercem mądrym i gorącym jak słońce, które jarzyło się nie tylko tym, których odprowadziła do ostatecznej życiowej przystani (Alba Romer, Marysia Scott, Andrzej Sozański i in.), ale i dla żywych, którzy przychodzili szukać jej ciepła. Ela, zanim jeszcze w późnym wieku odpadły jej obowiązki domowe, została uwiedziona nieprzepartą potrzebą twórczości artystycznej. Szczęśliwie poddała się jej z pasją i zapamiętaniem. Jej malowanie krajobrazów graniczyło z nałogiem, niemal z opętaniem. Oni i oboje ich dzieci, Anna i Krzysztof, to jedni z bliższych mi rawdońskich przyjaciół.

Do Rawdon cały czas docierały pojedyncze osoby. Program jednoczenia rodzin objął m.in. rodzinę Czetwertyńskich, Stanisława Siemieńskiego i Kazia Platera-Zyberka z dwojgiem dzieci, Byszewskich (nie rawdończyków). Wtórna fala zwiększyła się wiele lat później, w czasie stanu wojennego. Niejedni z tych, których stan ten zatrzaskał poza granicami Polski, skorzystali z sytuacji i wybrali wolność, przybywając do naszych brzegów. Pojawienie się kogoś spoza orbity ściągało innych bywalców, tworząc wokół przybyszów ściśle kółko zaciekawionych.

Osobliwą postacią przybyłą z Polski był Stanisław Siemieński, ojciec Wilhelma (Wilka). Świetnie zachowany staruszek, niczym z serwantki dawnej epoki, odbijał od całej reszty stylem, kulturą i charakterem. Właśnie dlatego, że w szybko zmie-

³³ Kuzynostwo, ponoć spokrewnieni z rodziną Romanowów.

niających się czasach chciał i potrafił zachować własny sznyt³⁴. Nie zatracił nic z sylwetki i fasonu wielkiego pana na Chorostkowie. W bezpośrednich kontaktach była od niego dobroć i nieukrywana szczerść serca. Gorący katolik, zawsze nieskazitelnie ubrany, buty świecące połyskiem chyba przedwojennej pasty „Erdal”. Zawsze w dobrym humorze, o nienagannyh manierach, o dużej wewnętrznej dyscyplinie, pojawiał się czasem tu i tam na naszych spotkaniach, zebraniach czy zabawach. Nie mając rówieśników w swoim otoczeniu, starał się włączać w bieżące życie młodszych, innego wyboru nie miał. Stanisław był wspaniałym symbolem innych czasów i przykładem dla młodszych pokoleń. Nim zszedł ze sceny, zawiązała się między nami krótkotrwała przyjaźń, której pamięć zachowałem i głęboko cenię.

Podobnym wspomnieniem był, aczkolwiek daleki od Rawdonu, ale pokrewny losem, George Scott, ojciec Elgina i Ralpha. Ożeniony z panią Pawłowską, George, polski Anglik, był rodowitym mieszkańcem Lwowa, gdzie piastował funkcję konsula brytyjskiego. Zawodowy dyplomata, po II wojnie światowej powrócił na stanowisko w Krakowie. Niestrawny dla reżimu PRL, został wyproszony z Polski i przeniesiony przez Foreign Office do Wiednia. Po zakończeniu służby, będąc wdowcem, postanowił przyjechać na starość do Kanady do synów. Ci wybudowali mu przestronną rezydencję przylegającą do ich domu w Whitby. Pieścili się z tym domem i mościli mu ów dom jak mogli. On sam wyposażył lokum tym, co przywiózł ze sobą. Na ścianach trofea myśliwskie, jego własne dyplomatyczne fotografie, wiedeńskie meble, kilimki, gablotka z orderami. Sędziwy George miał spędzić ostatnie swoje lata w prowincjonalnym miasteczku w ciepłym gronie rodziny. Gdy go odwiedzałem, rozjarzał się skojarzeniem mojej osoby z własną przeszłością. Znał moją rodzinę, wypytywał o jej członków, znajomych, mojego stryja, u którego polował na dziki i z którym łączyła go zażyła przyjaźń. Owiało mnie ciepłe uczucie, gdy ujrzałem na ścianie oprawione szable dzików. Kiedy wspominał przedwojenne czasy, jarzyły mu się oczy mirażem przeszłości. Oczywiście osoby, o które pytał, od dawna były po tamtej stronie bytu. Patrząc w jego oczy, wpatrujące się w moje z nadzieją jakiegoś potwierdzenia: gdzie mieszkają? jak żyją? co robią?, czułem na sobie wyczekujący wzrok. Było coś tragicznie zaskakującego w wyrazistości jego pamięci i naiwności człowieka powróconego do młodości. Tak jakby nie istniało „w międzyczasie”. Właśnie ona, ta pamięć, sprawiła mu największy zawód. Wszyscy odeszli, ale jego pytanie, co robią, uderzyło mnie rozdzierającym grotom. Wśród pięknych mebli, kanadyjskich wnuków, fotografii i oprawionych dziczych mieczów i orderów w gablocie, George nigdy się nie odnalazł. Trudno mi się było powstrzymać od smutku niewinnej zdrady jaka go spotkała, zdrady losu, I to na samym końcu. Błogosławieństwo

³⁴ Styl, fason.

nieświadomości i próba przysposabiania się do ‘nowego dzielnego świata’ nie trwała długo. Łaskawy los go wybawił – tak jak Stacha. Nie wiedząc dlaczego, czułem się współwinnym jego tragedii. Może dlatego, że pokładał we mnie nadzieje odnalezienia dawnego świata, nim stał się „dzielny”. Byłem członkiem tego spisku bytu...

Mówiąc o polskich imigrantach, trudno by było obliczyć ich wkład w kulturalny dorobek tego kraju, chociażby tylko w Quebecu, ich przyczynę stał się anonimową częścią rozwoju tej ziemi. Natomiast utożsamienie ich pracy i wysiłków ze „sprawą polską” zasługuje na uwydatnienie. Gwiazdą pierwszej wielkości dla polskiej sprawy był niestrudzony i bezprzykładnie ofiarny Tadeusz Romer w Montrealu. Od prowadzenia zbiorów na Skarb Narodowy, dzięki któremu Rząd polski na uchodźstwie mógł się utrzymywać, od wydawania (i drukowania) polskiego biuletynu, przez patronowanie polskim imprezom kulturalnym i wielu innym, po wspieranie Polskiego Instytutu Naukowego – to właśnie on był najmocniej zaangażowany. Wanda Stachiewicz, Teresa Romer, Irena Bellert zapisały się w polskiej diasporze złotymi zgłoskami. Rawdoński zaścianek miał swój odwód.

Każdy przybysz, zwłaszcza spośród starszych, wiódł za sobą własną historię. Niektórzy zapisali się w niej mocniej, pozostając w zbiorowej pamięci. Jerzy Brochocki, jego przyjaciel Tadeusz Buckiewicz i Maciek Zaleski mieli swój chwalebny zapis w lotnictwie RAF-u w czasie minionej wojny. Po jej zakończeniu Jerzy Brochocki ze swoją angielską żoną Felidią i kilkorgiem dzieci znalazł się w Quebecu, gdzie został zaangażowany przez Ministerstwo Leśnictwa tej prowincji do napowietrznego patrolowania nieprzebytych połaci lasów. W ciągu lat Jerzy odbył tysiące godzin lotów, poznając wiele leśnych zakamarków i zakątków niedostępnych drogą lądową. Polski patriota, człowiek głębokiej wiary, przyrzekł sobie, że na jednym z owych niedostępnych leśnych wykrotów dla upamiętnienia Polski i jej powojennego losu postawi figurę Matki Boskiej. Po latach dotrzymał obietnicy i w roku 1984, wielkim nakładem własnej pracy i przy współpracy autochtonów, którzy przejęli się jego pomysłem, zabrał się do zrealizowania projektu. W praktyce pomysł polegał na wydzwignięciu i ustawieniu dziobem do góry na karkołomnym wyłomie skały 16-stopowego canoe. Dodane szczegóły nadały figurze antropomorficznego kształtu. Jerzy, z pomocą dwóch chętnych, pracował przez 9 dni nad przetransportowaniem i zakotwiczeniem aluminiowego canoe w załamaniu skały i ustawieniem go w formie statuy. Chodziło o to, by ów monument był widoczny z szosy z dużej odległości. Dziś Matka Boska, a szczególnie jej odbijająca refleksem słońca aureola, świeci z odległości 50 kilometrów. Śmiałkom skorym do wdrapania się na skałę ukazuje się tablica u stóp figury z napisem w trzech językach: „Patrząc

na wschód, błogosław Polskę”. Później, ku wielkiemu zdumieniu lokalnych mieszkańców, Brochocki wykupił placyk wiodący do figury Matki Boskiej, by zapewnić utrzymanie pomnika. Brohoccy, po 10 latach w Rawdon, przenieśli się do miejsca o cieplejszym klimacie w Brytyjskiej Kolumbii.

Nieustępliwość jest często postrzegana jako negatywny rys charakteru, zwłaszcza w tym kraju, którego cechą podstawową są układy oparte na zgodzie, kompromisowe. Istnieją jednak sytuacje, w których nie można iść na kompromis, jeśli cel ma być osiągnięty.

Jednym, jeśli nie jedynym na tym poziomie, luminarzem „sprawy polskiej” był Kazio Plater-Zyberk, brat czterech rawdońskich sióstr: Róży, Elżbiety, Joli i Reni. Niedługo po przyjeździe do Kanady, w 1960 roku, znalazł on sobie własną niszę, która pozwoliła mu zakotwiczyć się rodzinnie i zacząć polską działalność patriotyczną. Kazio w niedługim czasie założył Stowarzyszenie św. Andrzeja Boboli, w imię którego rozwinął imponującą akcję patriotyczną, proponując radzie gminy zmianę nazwy jednej z ulic w zachodniej części Rawdon na avenue Varsovie. Niespożyta i nieustępliwa energia Kazia po wielu niepomyślnych próbach osiągnęła swój zamierzony cel i dziś avenue Varsovie jest nie tylko upamiętnieniem Polski, ale również świadectwem zasług polskiego emigranta. Przemianowanie nazwy ulicy w prowincjonalnym miasteczku to nic w porównaniu do wystawienia pomnika Mikołaja Kopernika przy wejściu do Planetarium w wielkim mieście Montreal. Nieustępliwość Kazia i tu wydała imponujący plon. Ktokolwiek odwiedzi Planetarium, niech wie, że pomnik Kopernika przy wejściu to zasługa Kazia Platera-Zyberka.

Jakby i to nie było wystarczająco doniosłe, Kazio wystarał się, by jedną z ulic w stolicy nazwać mianem Kopernika. W Ottawie Stowarzyszenie św. Andrzeja Boboli zaproponowało miastu wystawienie pomnika żołnierzy kanadyjskich poległych w trakcie wykonywania lotów dostarczających pomoc powstaniu warszawskiemu. Miał stanąć przy jednej z ulic we wschodniej części miasta. Osiągnięcie było o tyle trudne, że miejsce, gdzie zaplanowano umieścić pomnik, znajdowało się w niewielkiej odległości od ambasady rosyjskiej. Z obawy na polityczne zadrażnienie negocjacje z radą miasta stały się trudne i przewlekłe. W końcu pomnik stanął, ale w innym miejscu.

Skoro mowa o zasłużonych dla sprawy polskiej, nie sposób pominąć siostry Kazia Platera-Zyberka. Róża Siemieńska, jedna z najwcześniejszych imigrantek, niedługo po przyjeździe zorganizowała polską sobotnią szkołkę dla dzieci w Montrealu, w której uczyła przez wiele lat. Tam organizowało się dla dzieci i dorosłych obchody polskich rocznic narodowych i świąt religijnych, tam dzieci stawiały pierwsze kroki w nauce polskiego *savoir vivre’u* i uczyły się polskiej mowy. Jej i przedszkolu pani Smolibowskiej należy zawdzięczać wdrożenie

naszych najmłodszych Kanadyjczyków w polskość. Powstanie Muzeum w Rawdon i zaznaczenie w tej miejscowości polskiej obecności pozostanie zasługą wieloletniej pracy Wilka Siemieńskiego. Tu zainicjowany został proces wczesnego wyrabiania samoidentyfikacji. Po raz pierwszy nasze dzieci doznawały funkcjonalnej odrębności ojczystego języka i kultury od kanadyjskiego tła. Oczywiście proces fuzji różnic odbywał się samorzutnie i harmonijnie. Odmienność dawała jednak naszym dzieciom poczucie bogatszego uposażenia od lokalnych rówieśników i przyjaciół, z których większość była owej kulturowej odmienności pozbawiona. Ta inność niewątpliwie szła za nimi i do lat dojrzałych się utrzymywała. Zachodzi jednak pytanie, jak długo potrafi się utrzymać?

Polski Rawdon różnił się od innych skupisk polonijnych powabem zachowanej kultury ojczystej i wartości intelektualnych oraz wachlarzem zainteresowań ściągających tam imigrantów, w większości byłych ziemian. Chodziło tu o wiele więcej niż o patriotyczne symbole, narodowe hasła, eksponowanie znanych regionalizmów czy ich kulturowych namiastek. Polskim mieszkańcom Rawdon przyświecała prawdziwa troska o zachowanie obyczajowości, rodzimej kultury i o przekazanie wartości moralnych i odpowiedzialności społecznej następnemu pokoleniu. Zależało im na formowaniu charakterów, niezależnie od tego, jak głęboko zapuszczą oni korzenie w nowej ojczyźnie. Chodziło o człowieka. Wyzwanie z jednej strony niełatwe ze względu na wielokulturową mozaikę i krótką historię kraju, ale z drugiej – właśnie ten eklektyzm – dawał większe możliwości tym, którzy chcieli z nich skorzystać. Intrygujący model struktury społecznej tego kraju mógłby w późniejszym czasie dużo wnieść w debatę na temat wielokulturowości.

Jakkolwiek byłem częstym gościem w miasteczku, nie miałem tu własnego kąta, gdyż ustatkowanie i osiedlenie się nie było podówczas moim priorytetem. Poza tym byłem jeszcze zanadto oszołomiony Kanadą i nowością własnego w niej życia, by rezygnować z możliwości dokonywania wyborów. Niemniej tak ściśle skupisko ludzi pokrewnych mi kulturowo stało się niemalym magnesem.

Ci, którzy się tu osiedlali, byli ode mnie starsi, gotowi do stabilnego życia rodzinnego. Wyjechałem z Polski jako nastolatek i moje polskie doświadczenie ograniczało się do rodzinnego podwórka, które – aczkolwiek nie było małe – to jego bieżnia okazała się zbyt krótka by wznieść się wysoko ponad nią. Chłonałem więc, co mogłem, z rozmów starszych polskich bywalców. Stąd dowiedziałem się o historii rodzin, o specyfice towarzyskich i sąsiedzkich stosunków, o luminarzach, bohaterach wojennych, ziemianach, politykach itd. Perypetie wojenne starszych interesowały mnie szczególnie i kojarzyły się niejednokrotnie z tymi, które zasłyszałem wcześniej lub których sam doznałem. Moje lekkie odbicie od ojczyzny odróżniało mnie od bywalców, wiarusów i powstańców.

Etos doświadczeń wojennych rzutował też często na punkt postrzegania zagadnień społecznych.

Najliczniejszą grupą emigrantów była ta „od Andersa”. Zawierała nie tylko weteranów z Tobruku i kampanii włoskiej, ale również byłych więźniów kacetów, powstańców z Warszawy, członków AK i cywilów, powojennych uchodźców, których zaraz po wojnie wchłonął II Korpus. Stan wojenny dał wielu Polakom, którzy w tym czasie znaleźli się za granicą, szansę wymknięcia się z opresji reżymu i przyjazdu do Kanady. W krajach korzystających z programów wsparcia prowadzonych przez PRL w różnych miejscach była pewna liczba polskich ekspertów ze specjalistycznych dziedzin i ci skwapliwie skorzystali z politycznego chaosu. Rawdon wabił Polaków z różnych zakątków świata, gdzie utknęli od długiego czasu. Toudor Nenitescou przybył z Brazylii, Paweł Szeptycki z żoną i dziećmi z Południowej Afryki, a Roman Chodakowski i Eugeniusz Bystram z Argentyny – obaj z leciwymi matkami. Ci ostatni nie zakotwiczyli się jednak w Rawdon.

Najprzyjemniejszym dniem był zawsze piątek. Ten dzień, jako ostatni dzień tygodnia, wydawał się krótszy od innych. Auto napakowane dziećmi i weekendowymi zakupami wypływało z Montrealu na zamiejscową szosę, by ujechawszy kilka kilometrów (wtedy jeszcze odmierzane milami angielskimi), utknąć w korku drogowym, wśród wszystkich tych, którzy mieli podobny program. W owych czasach sieć komunikacyjna kraju, podobnie jak cały przemysł, czekała na powojenną modernizację a jazda do Rawdon mogła trwać dwa do trzech razy dłużej niż 20 lat później. Po dojechaniu do celu instalowanie się w weekendowym domku zabierało resztę dnia. Natomiast „prawdziwe życie” zaczynało się w sobotę. Zajęcia w ciągu dnia to sprawa indywidualna. Co zdolniejsi pracowali nad budową, inni doglądali ogródków, w sezonie, w tajemnicy przed konkurencją czmychali na grzyby, pluskali się w Wodospadach Darwina lub w jednym z kilku jezior w obrębie gminy.

W Kanadzie narciarstwo i sporty zimowe miały swój skromny debiut dopiero w latach 20., a na dobre rozwinęły się w 30. Napływ przybyszów z Europy, gdzie sport ten był już dobrze rozwinięty, przyczynił się do jego pełnego rozkwitu. Wynalazki i udoskonalenia techniczne sprawiły, że sezon zimowy nie tylko znacznie się urozmaicił i przeciągnął, ale także wywiódł dużą liczbę ludności z ciepłych domków na otwarte przestrzenie i świeże powietrze. W latach 60. quebecki mechanik samochodowy i wynalazca Jean Armand Bombardier, w swoim garażu w miasteczku Valcourt, zaczął eksperymentować, budować i rozprowadzać pod swoim nazwiskiem śnieżne „jeżdźółki” zwane później „skidoo”. Minęło kilka dziesiątków lat i dziś są one znane na całym świecie. Były to genialnie proste mechaniczne sanki napędzane spalinowym motorem, zdolne pokonywać głęboki śnieg i nierówne przestrzenie z dużą szybkością. Natomiast ulepszenia

wyciągów narciarskich pozwoliły nawet fotelowym narciarzom zjeżdżać z wyżyn bez potrzeby wdrapywania się na nie piechotą. Rawdon, otoczony pagórkami, był korzystnym terenem do budowy wyciągów narciarskich. Jean Pomagalski, polski wynalazca, pierwszy skonstruował i opatentował w roku 1935 wyciąg narciarski, który rozpowszechnił się w późniejszych latach pod nazwą ogólną „Poma” i patriotyczną „Tatrapoma”. Tadeusz Barnowski, mający rawdońskie powiązania (żonaty z Krystyną Czwertyńską) oraz doświadczenie w dziedzinie propagowania rozwiązań technicznych w sporcie, wykorzystał wynalazek współziomka w celach inwestycyjnych. Począwszy od lat 70. Rawdon cieszy się własnymi wyciągami na górze Mt. Calme, z których korzystają nie tylko mieszkańcy miasteczka, ale także turyści z odleglejszych okolic.

Od lat 60. siatkówka zaczęła przyciągać każdego, kto był zdolny i znajdował się w okolicy. Boisko pierwotnie mieściło się na wolnej parceli koło domku Siemieńskich na 12 Avenue. W kilkanaście lat później Tyszkiewiczowie przeznaczili na boisko parcelę przylegającą do ich domku, którą w międzyczasie zdążyli nabyć. Tam siatkowe igrzysko przetrwało dziesiątki lat, służąc następnym trzem pokoleniom zawodników. W ciągu lat godna siatkówka przekształciła się w bardziej nobliwy tenis. Osiągnęła nie tylko rangę dorocznych turniejów z nagrodami, ale były one hucznie obchodzone. Wydarzenie mobilizowało energię i ofiarność wspólnoty, która przygotowywała bufet, wałkowała korty i pełniła służbę porządkową. Na okazję tę zjeżdżali seniorzy, którzy z dumą patrzyli na wnuków, którzy przejmując pałeczkę po swoich rodzicach, kontynuowali ich sportowe tradycje i osiągnięcia. Długa kanadyjska zima stwarzała idealne warunki dla uprawiania sportów zimowych, przyciągając bardziej energicznych młodych i „prawie młodych”.

Sobotnie wieczory były czasem odwiedzin. U zmęczonych uprawianiem sportu lub pracą przy domu pojawiała się myśl, z kim by się tu spotkać, do kogo zajść. Samorzutna myśl niedługo czekała na spełnienie. Gościnność była wszechobecna, czekała tylko, by się ziścić za najmniejszym powiewem spon-tanicznej wyobraźni. Gdziekolwiek się pojawiłeś, zachowania były podobne. Różnice zaznaczały się w większej lub mniejszej wystawności, nakładzie pracy przy przygotowywaniu zakąsek czy dodatków do bigosu lub bardziej wyszukaną zastawą. Siemieńscy, Tyszkiewiczowie i Zamoyscy przeszli do historii z racji zasług w tym „departamencie”.

Eklektyczne wątki rozmów obejmowały zagadnienia związane z sytuacją polityczną w Polsce, opowieści o ludziach, o znajomych rozsianych po świecie. Nieuchronnie zawsze wracały do życia przedwojennego, sąsiedzkich stosunków w majątku swoim czy innym, opowieści o przeżyciach wojennych, o powstaniu, o AK. Wsłuchiwałem się w nie z wielką atencją, gdyż wyłaniały się z nich wątki

i szczegóły życia przedwojennego, których nie miałem czasu zaznać ani doznać. Jedne domy były bardziej zaangażowane, inne mniej. U Siemieńskich i Tyszkiewiczów rozmowy często odbijały od ziemi, ale jak to na biesiadach urywały się, przecinane innymi wątkami, zależnie od stopnia zainteresowania i trzeźwości rozmówców. Im mniejsza była trzeźwość biesiadników, tym silniejsze, głośniejsze i bardziej natarczywe stawały się próby przekonywania rozmówców do swoich racji – jak wszędzie indziej zresztą. Tony przedwojennych szlazierów, żurawiejek, kresowe romantyczne dumki i wojskowe piosenki, intonowane zwykle przez Wilka Siemieńskiego i Ewelinę Potocką, a podchwytywane przez innych, naznaczały niezmiennie pewien punkt w rozwoju zabawy. Dzieci, jak etykieta i zdrowy rozsądek nakazywały, chodziły spać wcześniej. Niemniej w różnych okresach dojrzewania na domowym horyzoncie pojawiały się dzieci wyrosłe z dzieciństwa, będące okrasą naszych spotkań. Utkwiły mi w pamięci i jak żywe stają dziś przed oczami ich sylwetki: smukła Inia Brzozowska, jej intrygująca siostra Bisia, dorodna Ania Tyszkiewiczówna, jej brat Krzysztof. Czasem biesiada przenosiła się do innego domu i w nim umierała już śmiercią naturalną. Ale, o dziwo, nie raz i nie dwa dla niektórych opornych bywalców odżywała pośmiertnie jeszcze gdzieś indziej.

Jakkolwiek ilość spożytego alkoholu odbijała się na randze libacji, nie słyszałem, by kiedykolwiek przekroczyła granice przyzwoitości i stosowności. Sztywne zasady nie popuszczały. Nie bez kozery jednak polski Rawdon pozyskał nazwę „Bimbrowo”. Tańce były często naturalnym epilogiem dnia. W zamkniętym zaścianku widziało się te same twarze, słyszało się te same dowcipy i wspomnienia. Bywalcom jakoś nigdy się nie znudziły.

Wewnątrz polskiej społeczności kontakty i przyjaźnie zawiązywały się spontanicznie. Po pierwszym przesiewie wyborów osiedleńczych spoistość była silna. To oczywiście, że cechy osobiste w znacznej mierze rzutowały na ową spoistość, ale wszyscy znali wszystkich i spotkania weekendowe były zjawiskiem powszechnym. Widywali się „do upadłego” – na spacerach, przy łódkach nad jeziorem, na siatkówce. Jedynym wyjątkiem było coroczne grzybobranie. Gorliwi zbieracze strzegli zazdrośnie swych terenów, nie zdradzając ich położenia nawet przyjaciółom. Grzybobranie ma swoiste zasady, które obowiązywały i tutaj. Grzybowe tereny, gaiki, laski, zagajniki, które okalały miasteczko, były ograniczone i dobrze znane. Jeśli na wyprawie po owo złote runo spotkało się białe, pojedyncze słupki w mchu czy trawie (grzybowe trzony), oznaczało to, że zostało się ubiegniętym w zbieraniu, że chociaż pora dnia była wczesna, inny zbieracz był już tu wcześniej – inny Słowianin był w tej okolicy. Nawoływania i głosy dochodzące z sąsiedniej łąki czy z głębi lasu znały, że zostało się zdemaskowanym przez niemłą konkurencję, nawet ze strony znajomych. Nic to, że później owe grzybowe delicje spożywało się przy wspólnym stole. Egoizm grzybobrania nie ma sobie równych.

Jeśli nie było się tubylcem, zajeżdżało się do jednego z zaprzyjaźnionych domów, włączając się w rytm zbiorowego życia. Atmosfera współpracy i wzajemnej radości życia stawała się udziałem wszystkich. Odległy był jeszcze czas, kiedy stan materialny niektórych wskazywał, że obrośli oni w piórka, co kłuło w oczy mniej zamożnych sąsiadów. Na ogół zrównanie materialne było powszechne, wszyscy klepali biedę, ale wizja polepszenia warunków bytu łączyła wszystkich. Z czasem jedni wybijali się szybciej. Władek Bławdziewicz zahaczył się w firmie budowlanej jako architektoniczny fotograf, Andrzej Tyszkiewicz, najbardziej elastyczny, zaraz po przyjeździe obsługiwał stację paliw w Montrealu. Gibka Jadzia Zamoyska zaczęła od uczenia w szkole gimnastyki, co skończyła robić dopiero mając lat 70. Przemek Potocki wyspecjalizował się w marketingu przeszedł dla ciężkiego przemysłu. Duże koncerny w Montrealu przerzuciły się z przemysłu wojennego na cywilny, produkując teraz sprzęt dla mas. Wytwórnie samolotów Pratt & Whitney i Canadair zatrudniły wielu Polaków oraz związanego z Polską Elgina Scotta, o którym pisałem wcześniej. Pułkownik Andrzej Sozański stał się specjalistą w logistyce jednostki przemysłowej, Artur Tarnowski z Dzikowa przyjął posadę w domu towarowym Morgan, sprzedając dywany, Adolf Moszczeński był sprzedawcą w domu handlowym Ogilvies, Wilek Siemieński i Axel Jakubowski sprzedawali samochody. Ich godność i postawa na tych stanowiskach była imponującym przykładem *noblesse*.

Koniec lat 60. przyniósł zmiany na wewnętrznej scenie społecznej Kanady, które niebawem nabrzmiały konsekwencjami politycznymi. Ze zwiększoną powojenną ruchliwością obywateli i postępującą laicyzacją społeczeństwa quebeckiego zaczęły zarysowywać się przesilenia wzdłuż etnicznej fastrygi kultur założycielskich: angielskiej i francuskiej. Ich nasilenie zagroziło oddzieleniem się Quebecu od reszty Kanady. Proces ten zapoczątkował to, co przeszło do historii jako *spokojna rewolucja*. Mimo dwóch śmiertelnych ofiar była ona ze wszech miar umiarkowaną. Rewolucja ta miała natomiast przełomowy wpływ na zmiany w wewnętrznej strukturze społecznej kraju. Dopiero lata 90. przyniosły owoce naporu społecznego, usuwając ruch separatystyczny na polityczne marginesy, gdzie do dziś drzemie. Okres turbulencji wpłynął jednak pozytywnie na wewnętrzną spójność kraju. Jego oddziaływanie na kanadyjską państwowość było doniosłe. Jednym z wyników stały się zmiany w prawodawstwie imigracyjnym³⁵, ale my byliśmy już poza jego zasięgiem.

³⁵ Od końca lat 60. wprowadzone zostały nowe kryteria przyjmowania imigrantów. Quebec otrzymał natomiast możliwość decydowania o wyborze imigrantów do swojej prowincji.

[Autor ma tu najprawdopodobniej na myśli przepisy z roku 1967 oraz Immigration Act z roku 1976, na mocy którego prowincja Quebec otrzymała prawo samodzielnego prowadzenia polityki imigracyjnej – przyp. A.R.]

Przeobrażenia te nie wniosły istotnych zmian w kryteriach napływu polskich emigrantów. Co więcej, potencjalni polscy przybysze francuskojęzyczni mieli łatwiejszy wstęp, jeśli kwalifikowali się jako tacy. Polski Rawdon, wskutek politycznych wypadków lat 80. i 90., poza wyjątkami przestał być zasilany nową imigracją. Konsolidował się i starzał sam w sobie. Natomiast jego szeregi, siłą nieustępliwej demograficznej ewolucji, zaczęły pomnażać się o nowe pokolenie polskich autochtonów. W krótkim czasie Rawdon zaroił się nimi u Siemieńskich, Moszczeńskich, Żółtowskich, Potockich, Zamoyskich, Platerów-Zyberków, Pawlikowskich oraz u obu rodzin Brzozowskich. Staliśmy się znaczącym punktem na mapie polskich skupisk emigracyjnych. Liczbowo wielkość ta nie była porównywalna z innymi światowymi skupiskami Polonii, szczególnie w miastach amerykańskich, ale jej cechy, jak się rzekło, były od nich wszystkich bardzo odmienne. Interesujące jest śledzenie „wyspiarskiego” Rawdon, kształtowania się drugiego, później trzeciego pokolenia, będącego niezaprzeczalnie owocem zasiewu ich rodziców, dziadków i młodej wspólnoty. Warunki bytu kolejnych „schodków pokoleniowych” stawały się radykalnie odmienne od bytu ich rodziców, choć nie obce. Psychika emigrantów różniła się znacznie od psychiki osób urodzonych w Kanadzie. Dla dzieci imigrantów bardziej znaczący był ich stosunek do społeczeństwa niż stosunek społeczeństwa do nich. Młodzi nie byli ponadto ‘obciążeni’ wspomnieniami kraju rodziców. Wiedzę o nim nabywali z drugiej ręki, by stworzyć swoisty aglomerat Kandyjczyków polskiego pochodzenia.

Opis beztroskiego życia weekendowego, relaksu, nagminnych balang może stwarzać wypaczony obraz sarmackiego rozpasania. To, czego brakuje w opisie, to niepewność materialna, przez którą ludzie ci brnęli po wylądowaniu w Kanadzie. Mieli trudności z adaptacją, zachowaniem godności i ambicjami zawiedzionymi przez wojnę, które teraz musiały zostać przeprogramowane. Musieli wyrwać się z emigranckich dołów i co najważniejsze – poświęcać wysiłek i stałą uwagę, by zapewnić potomstwu pewien poziom ojczyściej kultury, odróżniający ich od tła, w którym się znaleźli. To nie byle wyzwanie w świecie, w którym przyszło im żyć. Rawdon to miejsce odprężenia i wypoczynku, gdzie ludzie, którzy przeżyli gehennę wojenną i powojenną teraz celebrują pospół życie i wolność.